Rok IV.

Nr. 31. Nr. 31.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 ztr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po $1^1/_2$ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 1 sierpnia 1874.

Xięgarnia K. Rejzner (Chotomski) ulica Wodna Nr. 15, na rogu Wielkich Garbar.

Jak możemy zostać szczęśliwym narodem?

Najważniejszém zadaniem człowieka jako zwierzęcia jest jego wyżywienie. Ono to stanowi najpierwszą i najważniejszą troskę ojca rodziny, który w miarę swych sił i stanowiska dostarcza pożywienia, gdy matka niém rozrządza.

Żadna myśl wyższa nie wyrodzi się w osobniku ludzkim, dopóki nie zadowolni swego roślinno-zwierzęcego życia. Ten na pozór upakarzający warunek, przy bliższém zastanowieniu sie, jest niesłychanie ważnym w gospodarstwie społeczném: bez niego człowiek stałby się — zupełnie bezczynnym. Tam gdzie zbytek panuje co do wyżywienia i wygód, — tam, z bardzo rzadkiemi wyjątkami, panuje niedołężność. Jawnym tego dowodem są warstwy najbogatsze ludności w każdym kraju. Pomiędzy najbogatszymi tylko z takich rodzin wychodzą ludzie sprężyści, w których zbytek we wygodach, a mianowicie w jadle jest ściśle ograniczony i surowo przestrzegany. Ztąd Anglicy mają w przysłowiu; „Powiedz mi co jadasz, a powiem ci coś wart.“ Im wykwintniejsze będą przysmaczki, im kuchnia sutszych dostarcza pokarmów, — tém nieudolniejsi będą — karmieni. Spazmy, czułostkowość zamiast czułości, niesmak życia, niezadowolnienie ze swego stanu, rozmarzenie chorobliwe, zachcianki nadzwyczajności, niepunktualność, zachętki, brak silnéj woli stawania się użytecznym współbliźnim bez żadnego skutku, narzekania na los i ludzi, choroby i dolegliwości urojone, a również bolesne niż najwłaściwsze i t. p. klęski, — wyjawiają się w najpotężniejszych w środki materjalne rodach i rodzinach. Zbytki — rodzą niemoralność i podłość, odbierają wszelką sprężystość ducha i ciała. Ludzie zamiast zazdrościć tym nieszczęśliwym bogaczom — raczéj ubolewać powinni nad nieumiejącymi sobie w zbytkach panować. — Tacy Żółtowscy, Edwardostwo Ponińscy, Gustawostwo Potworowscy, Mielżyńscy, Sapiehowie, Gołuchowscy, Bismarkowie; taki król Wiktor Emanuel włoski i t. p. dobrzy gospodarze i szczęśliwi ludzie, winni tylko temu ograniczeniu się swe powodzenie. Jako przykład wiadomy nam najdokładniéj, jest właśnie król włoski. Przy najsutszych bankietach dyplomacji dawanych, król sam zjada tylko kurczę gotowane z ryżem i z niego rosół; nie pije wina, chyba kieliszek szampana, — po obiedzie pali najpospolitsze cygara Kawur (Cavour) po $2^1/_2$ grosza polskiego; gdy biesiadnicy jego jedzą przysmaczki najwytworniejsze i zapijają wina najrozliczniejsze, palą hawańskie cygara, a król godzinami na to patrzy i podczas takiéj biesiady rozprawia ze zbliżającymi się doń dworakami. To też dyplomaci nazywają go „dzikiem“ (sanglier) dla jego niedostępności, ostrożności i siły charakteru, i utrzymują, że najniebezpieczniejszą byłoby rzeczą sięgnąć komu po jego koronę. Ze życiopisu codziennego Lelewela, jak i wszystkich znakomitych ludzi wynika, że oni tylko ograniczeniem się, wstrzemięźliwością niepokonaną niczém utrzymują się w niesłychanéj czynności i sprężystości.

Człowiek jest niby woda wparta w ciasne rury — a tłoczona wypryska w cudnych, czystych, ożywiających wodotryskach, — pozostawiona saméj sobie rozlewa się w najniższe miejsca i tam zlewając się stanowi obrzydliwe kałuże, pełne robactwa i zgnilizny. Z drugiéj strony brak pożywności wyradza innego okropnego rodzaju klęski i zbrodnie, — ludożerstwo i niewolę, choroby i nędzę.

Tak widzimy, iż rzeczywiste szczęście ludzi leży pomiędzy zbytkiem a głodem — w szczęśliwéj mierności i ograniczaniu się (beata mediocritas). Ztąd wnioskować łatwo, że i na kuli ziemskiéj te narody muszą być najpotężniejsze, w których przyroda ani zbytecznie

nie uposaża wygodami i pokarmem, ani za skąpo niemi ludzi nie ogranicza.

Cała ludność ziemska nadmorska żywi się wyłącznie mięsem ryb, muszli i innych zwierząt morskich. A że je dopiero zdobywać krwawo często musi, — przeto najdzielniejsze są ludy nadmorskie. Potęga Anglji, Włoch, Francji, Hiszpanji i Portugalji, Grecji i Fenicjan, Japończyków i Indów, czy to w dawnych, czy w dzisiajszych czasach tego dowodem, — i to dopóty, dopóki zbytek się nie wkradł.

Toż samo da się powiedzieć o ludach żyjących w głębi stałego lądu w okolicach, gdzie jest suto zwierzyny przy nizkiéj, drobnéj lecz nabitéj roślinności. Takiemi ludami są Tatarzy i Mongoły, Hunny i inne wojownicze, niegdyś Europie tyle straszne potęgi, — wykarmione mięsnemi pokarmami krwawo zdobytemi.

Tam gdzie bujna, wysoka, owocodajna a obfita roślinność, gdzie klimat ciepły i ciągle rodzący, — tam i ludzie łagodni, pochopni do marzenia, do poezji i do bezczynu — jak w Indach, Indjach, w Afryki niektórych ongi obfitych w owoce krajach i wyspach Oceanu Spokojnego.

W krajach zaś, jak dziś Europa mianowicie środkowa, gdzie mierność pomiędzy płodami natury tak zwierzęcemi jak roślinnemi panuje, — albo jak w Północnéj Ameryki Stanach Zjednoczonych, tam téż panuje stósunkowo i największe szczęście pomiędzy ludźmi, — ze stósunkowo najlepszym dobrobytem i bogactwem prawdziwém, wydobytém z łona ziemi pracą i oszczędnością, wzorową gospodarką.

Zwracamy tu uwagę, że to szczęście głównie zawisło nie od tych co dostarczają zapasów, ale od tych co rozporządzają niemi, a zatém od matek nie od ojców. Prawdziwe szczęście przynosi w dom — kobieta. Od niéj to zawisło i szczęście kraju. W krajach potęgę mających nierównie więcéj zależy ta potęga od kobiet, niż od mężczyzn, choć tych zwykle, fałszywie dotąd pojmowana historja, głosi czyny i rządy. Jeżeli dobrobyt w rodzinie, azatém i w kraju zależy od kobiet, toż naturalnie i upadek rodzin, azatém i kraju, głównie od kobiet zawisł. Jeżeli nierząd mężczyzny, niedostarczającego dostatecznego zapasu dla rodziny, wywołuje głód i nędzę, — to znów z drugiéj strony nadmiar zapasów źle zarządzanych przez kobietę, wywołuje zbytek i przeżycie się. Ograniczenie się w dostarczaniu ze strony ojców rodziny, — jak i ograniczenie się w rozporządzeniu mienia matek, — ta szczęśliwa mierność jest podstawą szczęścia rodzin, a ztąd i krajów potęgi. Mniejsza o formy rządu, mniejsza o panujące wyobrażenia społeczne. Czy to w ludności wiejskiéj czy miejskiéj, czy na wielką czy na małą skalę, — tam gdzie panuje ta błoga równowaga, tam musi iść wszystko dobrze. Jeżeli znaczny dziedzic, znaczny fabrykant czy kupiec dostarcza ojcom w pracy mu pomocnym w zbieraniu, znacznych zasobów, — to te rozdzielone bywają pomiędzy współpracowników w ręce żon, w kółka rodzinne; natenczas, chociażby to były i najznaczniejsze zasoby, jeżeli one nie są roztropnie rozrządzane przez gospodynie, nie wywołają tego skutku, jakiby powinny, i całéj wsi, całego zakładu współpracującym będzie bieda. W skutek tego nierządu pojedyńczych kółek sama wieś i najpilniéj uprawiana i zagospodarowana najintratniéj, sama fabryka najkorzystniéj produkująca z czasem nie starczy, bo zniechęceni domowym niedostatkiem współpracownicy ręce poopuszczają, na czém i owe zakłady i onychże produkcje ucierpią, a ostatecznie upadną.

Nie dosyć na tém, — to zło rozplenia się po za te kółka rodzinne i przechodzi w inne sąsiednie rodziny. Nie umiejących się rządzić matek dzieci wyrosną znowu, żeniąc się lub idąc za mąż, na złych ojców i na złe matki. Niedbałego męża naprawi rządna żona, bo wpływ kobiety jest wszechpotężny na mężczyznę, i z czasem najniedbalszy mężczyzna ulegnie wzorowéj żonie; ale najdbalszy ojciec zbezwładnieje, gdy matki czy żony jego zarząd marnotrawi dostarczane zasoby.

Zdaniem naszém szkoły męzkie wystarczyłyby dzisiajszym pojęciom gospodarstwa społecznego, one uczą dostarczać zasobów rodzinie w rólnictwie, przemyśle i handlu, — ale wychowanie kobiet w szkołach żeńskich utwarzanych na wzór szkół męzkich jest najfałszywsze, najwadliwsze, i ztąd płynie owa śmieszna emancypacja kobiet, ztąd owa niechęć żenienia się młodzieży, ztąd owe bezpłodne małżeństwa zawiązywane w zapóźnym wieku — dla interesu. Nasze panny, córki uczą się dostarczać, ale nie uczą się rozrządzać, uzdolniają się na guwernantki, nauczycielki do akademji, gimnazji, uniwersytetów, ale nie uczą się rządzić domem i czeladzią, nie uczą się ażeby być dobremi żonami i matkami. Europejskie pensjonaty nie uczą oszczędności, ale zbytku, — przekształcają uczuciowość i czułość na rozumkowaną przesadę i czułostkowość; uczą wyżéj cenić pozór nad rzeczywistość.

Sumienne i ścisłe examina szkół męzkich, zajmujące nas wyłącznie albo naukami przynoszącemi, bez względu na moralność — korzyści materjalne, albo mające na celu administrację i prawa państwowe, — z pominięciem etyki, t. j. praw natury i moralności, nieomal wykluczonych systematycznie, — trzebaby i możnaby właśnie równoważyć ukształcaniem kobiet odwrotnym kierunkiem, t. j. nie zgromadzać panien z różnych stanów i różnego wieku w szkoły klasowe, lecz właśnie wysyłać córki nasze w domy prywatne, do rodzin wzorowo się rządzących, jak to czynili dawniéj nasi przodkowie*). Nas mężczyzn zmuszają do szkół publicznych prawa krajowe, — tego musu nie mają kobiety. Zamiast do pensjonatów w Dreźnie, Paryżu. Londynie lub Petersburgu, niechby nasze panny szły w naukę do wzorowych matek, do wzorowych rodzin Niemców, Francuzów, Anglików lub Rosjan, gdzieby się zarazem i wyuczyły obcych języków, — jeżeliby nie chciano ich oddać, a coby najlepiéj było, do takichże domów polskich.

Dzisiajszy szał muzyki i języków widzibóg nie zrównoważy braku cnót domowych! Fanatyzm zakonniczych, nienaturalnych, starych panien, — nie zastąpi wzoru dobréj matki i żony. Głęboka religijność rodzi się nie w klasztornych murach, ale w obec życia szczęśliwego rodzinnego, w obec przyrody i w gronie ludzi światłych i zacnych. Zostawić klasztorne wychowanie dla nieszczęśliwych tych panien, które nie wyjdą za mąż i mogą w szpitalach, zamiast własnéj dziatwy, pielęgnować chorych obcych. Ale żeby przyszłe matki-obywatelki zdrowe pojęcia o życiu i jego obowiązkach wyniosły z pensjonatów, gdzie płatne stare guwernantki lub umysłowo chore zakonnice, albo obcy młodzi fircykowaci nauczyciele, albo stare przeżyłe mruki uczą lekcji urywkowo i powierzchownie, gromadnie spędzone, z łona rodzin wyrwane dzieci, nie mając żadnéj styczności z życiem domowém, w którém ostatecznie każda żona przepędzać ciągle samą naturą rzeczy jest zniewolona, — tego ani wymagać, ani dopiąć w pensjonatach najlepszych nie można.

Zwracamy tu tylko ogółowo na ten arcyważny przedmiot uwagę, jako na materjał do rodzinnych lub i szerszych rozmów, — jak to na takiego rodzaju, jak nasze pismo, przypada. Mianowicie polecamy te myśli wzorowym żonom a matkom — do rozmysłu.

Zwrot taki wychowania naszych cór wywołałby w naszych stósunkach skutek niepospolity, do którego

---

*) Z dawnych panien respektowych po domach takich Żółkiewskich, Tarnowskich, Sobieskich i innych pomniejszych, a nawet i mało możnych, wychodziły matki naszych wielkich ludzi. Bo jeżeli był kiedy i gdzie jaki wielki mąż, to go albo wielkoduszna matka, albo przezacna jaka inna kobieta wychowała.

dążyć nam wypada, t. j. do tego: ażeby się stać jak najrychléj szczęśliwymi w narodzie naszym, — a do tego tylko dopniemy, gdy się staniemy szczęśliwymi w naszych rodzinach. Tego się dopnie li tylko przez wychowanie i wykształcenie stósowne nie mężczyzn (bo do tego dziś już władzy nie mamy), ale przez wychowanie i wykształcenie kobiet, i to nie po pensjonatach ani po szkołach publicznych, które dla kobiet, zdaje nam się, nawet i same ministerja oświecenia europejskie z czasem, jako nieskuteczne i niedostateczne, zarzucą, lecz przez wychowanie i wykształcenie kobiet w świątyniach rodzin wzorowych pod względem cnót domowych i obywatelskich. Z tych świątyń wypływa szczęście, dobrobyt i każda potęga jakiegokolwiek narodu: bez względu na jego język, wiarę, tradycję dziejową lub formę rządu, — a nie z żadnych banków, loterji, giełd, ani nie z handlu, przemysłu i rolnictwa, — bo te wszystkie rzeczy są nie przyczyną, ale skutkiem szczęścia domowego, — a tam tylko to szczęście — gdzie ojciec jest wzorem obywatelskim, a żona jest wzorem matek i tam najlepsza w świecie szkoła!

Wł. hr. Chotomski.

Rodzina węglarza,

przez **W. I. B.**

(Ciąg dalszy).

III.

Oto grosz srebrny, dziś — skarb mój jedyny,
Co miał nas chronić od czarnéj godziny,
Przynoszę tobie. Daj ty mi za niego,
Ty, co tam stoisz i bijesz co siły
W dzwon za umarłych — daj ty mi za niego,
Daj tyle jęku, ile grosz ten znaczy.
Lecz wartość jego któż ci wytłomaczy?
Czy twarz ma sina i cztery mogiły
Cicho leżące wśród pól na rozłogu?
Czy anioł śmierci, co zasiadł tam w progu
Chaty rodzinnéj i po trudach znoju
Odpoczął teraz! Czy gwiazda przyszłości,
Co padła blada na zsiniałe kości
Tych, cc spoczęli po bólach w spokoju?
Czy jęk méj piersi, ból mojéj rozpaczy?
Któż tobie wartość grosza wytłomaczy?
Grosz ten był dla mnie ogniwem dwóch światów;
Młodość mi moja przeszła jako chwilka,
Nie wśród obłoków, lilji i bławatów,
Nie na figlarném chwytaniu motylka,
Nie na bawidłach pieszczonego dziecka,
Ale na cichéj pracy, pobożności,
Przed którą chmura pierzchała zdradziecka,
A rozświecało się zorze miłości.
I miłość była we mnie, w głębi serca,
Miłość w około, w każdym głosie ludzi.
Ach! kto powiada, że serce nie budzi,
Serca u ludzi — ten ludzi oszczerca!

Tak mi czas przeszedł do mego wesela.
Gdy matka wieniec kładła mi na skroni,
Rzekła: Chociaż ta chwila nas rozdziela,
Ty nie zapomnisz macierzyńskiéj dłoni! —
Nie zapomniałam! Jeszcze na méj głowie
Czuję tę rękę! Jeszcze dłoń jéj chwyta
Moje warkocze! a myśl jéj odbita
Gra póty w sercu, aż serce odpowie!

Pamiętam — jako z ciekawością w oku
Ruch jéj śledziłam, gdy mi w kwiat u boku
Srebrny pieniążek milcząco wplatała
Na me pytania nie odpowiadała,
Ażeby myślą o ziemskiéj rachubie
Nie brudzić serca niewinnéj dziewczynie.
Wiem — ona wtedy myślała o próbie,
Ona myślała o czarnéj godzinie
Która nawiedza ludzi! Pomyślała,
Że tym zwyczajem, uświęconym laty.
Chmury od życia mojego odgoni;
Że mi dostatek wprowadzi do chaty,
Że przyszłość moją przed nędzą zasłoni.
I zasłoniła! Wiodło nam się w domu,
Wiodło w dobytku, w chacie powodziło,
Rodziło w polu, działo, jak nikomu,
Szczęściło w dzieciach. A troje ich było
Zdrowych, rumianych.

IV.

— Najstarsze pachole,
Biała dziecina z czarnemi oczami,
Dziwny był chłopiec. Gdym go brała w pole,
Zamiast się bawić modremi kwiatkami,
On kwiatki tulił do serca i płakał
Do gwiazd na niebie rączkami podlatał,
Rwał się do ptasząt, zwracał ku nim głowę,
I z wszystkiém w okół, jak ze znajomemi,
Z niebem i ziemią, i z ludźmi na ziemi,
Jakąś nieznaną prowadził rozmowę.
Ludzie patrzali jak na widowisko,
A mnie się serce krajało bólami;
O! bom ja czuła, że choć on stał blizko,
To oddalony całemi światami
Od własnéj matki, biegł gdzieś — ku wyżynie!
Że coraz daléj odemnie odpłynie,
Że co dnia więcéj, prawie co godzina,
Matka — w człowieku tracić będę — syna!
I tak szło daléj, aż nie było rady.
Gadał ksiądz pleban, gadały sąsiady,
Przedstawiał dziedzic i różni panowie,
Żo dziecku temu coś chodzi po głowie,
Czego zrozumieć nie mogą prostacy,
Co w jego sercu z wiekiem się rozrasta;
Że grzech do zgrzebnéj przykuwać go pracy,
Że trzeba dziecku pomódz, gdzie go siła
Natury ciągnie. A jam się modliła!
I poszło chłopię nazajutrz do miasta;
Sam mąż go zawiózł i pobłogosławił,
Poczciwym ludziom w opiekę zostawił;
Zostawił sporo zabranych pieniędzy
I wrócił do mnie, by mnie w mojéj nędzy
Sierocéj tulić! W chacie jeszcze było
Dwoje dziateczek: dziewczyna — aż miło
Na nią popatrzeć; niby sok z jagody
Z mlekiem zmieszany. Czy stary, czy młody,
Przechodząc mimo, patrzy nań z rozkoszą,
A te spojrzenia dziewczyny nie płoszą,
Gdyż patrzy w okół niewinnie, a tkliwie.
A gdy kto ciekaw spojrzy natarczywiéj,
To dziewczę zsunie hebanowe włosy
Na białe czoło i twarz swą osłoni,
Jak biała brzoza, co spuszczone kosy
Rozsnuwszy w okół, urody swéj broni.
Wkrótce daleko, szeroko, rozgłośnie

Słynąć zaczęła dziewczyny uroda;
Mówiono o niéj: Dziewczę jak jagoda,
Którą cień drzewa otulił miłośnie.
Ztąd pozostało jéj miano: Jagody.
Kiedym z dziewczyną chodziła do miasta,
Nieraz — bywało — zaczepia mnie młody
I mówi: Matko! Jagoda dorasta,
Czas już pomyśleć o mężu dla doni.
Wtedy Jagoda rączką twarz zasłoni
I pierzcha w pole jak sarenka młoda,
A ja się bronię: toż dziecko Jagoda!
Dziewczę nie miało nad dwanaście latek,
Lecz chodowana troskliwie, jak kwiatek,
Który wybrała ręka pracowita,
Wyrosła hyżo, jak bujny kłos żyta,
We wszystkich kształtach bujnie rozwinięta.

Nieraz, gdy przyjdą uroczyste święta,
Dziewczyna w polu snop ziela wyrzyna
I na obrazach wieńce z nich rozpina.
Sobie żadnego nie zostawi kwiatka,
Lecz kto ją ujrzy w pośród tego wieńca
Strojną w kwiat świeży krasnego rumieńca,
Ten musi przyznać, że nad woń bławatka,
Nad róży świeżość błyszczy jéj uroda.
Jam się żaliła: — Szkoda mi jéj, szkoda!
I nieraz ludzi prosiłam się szczerze:
— Nie psujcie dziecka, nie kalajcie słowy!
Bo gdy raz pycha zajrzy do téj głowy,
Gdy się raz próżność do serca dobierze,
Przepadnie cała uroda dziewczyny:
Krasa świeżości, prostota bez winy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemnicza szkatułka.

Powieść osnuta na prawdziwém zdarzeniu

przez

E. z Kurowskich Puffke.

(Ciąg dalszy.)

— Nie spodziewam się niczego tylko śmierci, rzekł ponuro hrabia, który w téj chwili zdawał się powracać do zmysłów i poznawać swe położenie.

— Tyś chory, najdroższy mężu, gdy powrócisz do zdrowia, życie znów ci będzie milszém.

On wzruszył smutnie głową.

— Poddaj się zupełnie kuracji pana konsyljarza, rzekła znowu, on cię wyleczy wkrótce. Ja cię będę jak najczęściéj odwiedzała w lazarecie.

— Nie, nie, tego nie czyń drogie dziecię! zawołał hrabia z obłąkanym znów wzrokiem. Twoja miłość ku mnie zatruje tak samo twe życie, jak je zatruła Karolinie. Uciekaj odemnie... brzydź się mną, Rozaljo!

— O ja cię tém bardziéj kocham, im jesteś nieszczęśliwszym! zawołała Rozalja wśród łez.

— Tak, tyś taka sama jak Karolina z tą twoją miłością dla mnie, którą ja tak niegodziwie odpłacam. To biedne stworzenie!... Strzeż się Rozaljo, ażeby i z tobą nie zrobiło się tak samo! Ah jest to mojém przeznaczeniem zabijać tych, których kocham najbardziéj. To mówiąc hrabia zakrył twarz rękoma i rozpłakał się jak dziecko.

Rozalja rzuciła się z głośnym płaczem w jego objęcia. Doktor Kolaczek był zmuszonym mdlejącą hrabinę odprowadzić do jéj pokoju.

Hrabia wpadając znowu w gwałtowne obłąkanie krzyczał, grożąc Cezarowi. Widzisz ty bestjo, gdybyś nie był całego majątku roztrwonił lekkomyślnie, nie byłbyś potrzebował połykać szkatułki z gorżkiemi pigułkami — Karolina nie byłaby umarła a Rozalja nie potrzebowałaby płakać.. i to mówiąc kopał nogami psa i bił go niemiłosiernie.

Konsyljarz dał znak ludziom, by odprowadzili do pojazdu hrabiego, który uderzywszy jeszcze kilka razy biedne zwierzę, szedł bez najmniejszego oporu.

Doktor Kolaczek pozostał sam w przedpokoju. — Czemu panna Łucja nie przyszła pożegnać się z bratem? pomyślał, gdy we drzwiach ukazał się policjant wartujący na schodach.

— Panie doktorze, rzekł, pan dyrektor przysłał służącego i każe prosić pana, abyś się z nim zechciał udać do bióra policji.

— Ja?... zapytał doktor więcéj zadziwiony niż strwożony. Jeżeli potrzebną jest moja obecność, to znajdę sam drogę do bióra.

— Ale służący ma wyraźne polecenie towarzyszyć panu, rzekł policjant stanowczo.

— Dobrze, rzekł doktor, przybędę natychmiast, lecz pierwéj muszę pożegnać hrabiankę Rikoczy.

Młody lekarz przeczuwał coś złego i nie mógł opuścić tych miejsc, nie ujrzawszy raz jeszcze pięknych oczu Łucji, nie usłyszawszy słodkiego jéj głosu.

Urzędnik uśmiechnął się znacząco. Ale doktor nie zważając na niego, wyszedł i zapukał do drzwi Łucji.

— Wybacz pani, rzekł wchodząc, nie miałem się przez kogo zaanonsować, a chciałem...

— Ależ drogi panie doktorze, zawołała Łucja ocierając zapłakane oczy, po co te uniewiniania. Powiedz pan co robi mój brat? co pan sądzisz o jego stanie?...

— Spodziewam się... rozumiem... że to będzie przemijające obłąkanie, które jego zmysły pomięszało.

— Ale on już zawsze skłonnym był do melancholji, rzekła Łucja.

— Tu u wód znalazłem go daleko weselszym, niż wówczas gdy go widywałem dawniéj. Ale wczoraj wieczorem doszła go zapewne wiadomość o wydobyciu ciała jego pierwszéj żony.

— To może nie, lecz dziś w nocy przeczytał papiery pochodzące od niéj.

— Otóż jest wyjaśnienie jego chwilowego obłąkania, zawołał doktor, te papiery i wspomnienia które one wywołały, sprawiły to pomięszanie zmysłów. Gdyby się wiedziało co te pisma zawierały, możnaby przez przedstawienia i pociechę uspokoić wzburzony umysł brata pani.

— Niestety! my także nie wiemy ich treści, odpowiedziała Łucja; przy rewizji szukano ich właśnie najściśléj, lecz ich nie znaleziono.

— Muszą one przecież mieć jakikolwiek związek z śmiercią bratowéj pani?

— Tak nam się także zdaje.

— Więc z wpływu jaki wywarły na umysł brata pani, można się domyślać ich treści.

— Jak to pan rozumiesz? zapytała Łucja, a jéj ciemne błyszczące oko spoczęło z takim wyrazem na obliczu doktora, że ten spuścił oczy ku ziemi.

— Rozumiem poprostu, że te pisma musiały wzbudzić gwałtowne uczucia w bracie pani, rzekł po chwili milczenia.

— To pewno, ale pan nie myślisz przecież, iż te pisma mogły zawierać coś, coby przeciwko memu bratu świadczyć mogło?

— Pani!...

— Zniszczył on je wprawdzie sam, ale to w napadzie obłąkania zapewne.

— Te pisma mogły nawet zawierać dowody jego niewinności, i gdybyśmy go byli wczoraj ostrzegli o mającém nastąpić śledztwie, wszystko może inny byłoby wzięło obrót. Lecz na wyraźne życzenie pani, nie udzieliłem mu wiadomości, które odebrałem z Wiednia.

— O Boże! więc w tym razie cała wina spada na mnie, że mój biedny brat popadł w takie nieszczęście.

— O nie rozpaczaj pani! ta sprawa musi się wyjaśnić wkrótce. Ja także jestem powołany do dyrektora policji, zapewne będę badany, a moje zeznania nie będą bez znaczenia.

— Może i pan będziesz posądzonym!

— Zdaje się, że już jestem, bo dają mi policjanta do eskorty.

— A gdyby pana uwięziono, gdybyś miał cierpieć za przysługę, którąś bratu memu wyrządził! — my zostałybyśmy tu same pomiędzy obcemi, bez podpory, bez przyjaciela!.. wyrzekała Łucja, która w obecnéj chwili straciła całą swą energję i stałość.

— Jakikolwiek będzie mój los, rzekł młody doktor całując z uczuciem podaną mu rękę, czuję się w téj chwili niewypowiedzianie szczęśliwym, że pani raczyłaś nazwać mnie swym przyjacielem.

— W nieszczęściu poznaje się przyjaciół.

— W szczęściu i nieszczęściu zawsze równy będę dla pani! zawołał młody doktor wzruszony, gdy wtém jeden z policjantów zapukał do drzwi.

Wkrótce potém znajdował się doktor Kolaczek w biórze dyrektora policji. Co za dziwne położenie! Szczęśliwy rywal staje oskarżony o wspólnictwo zbrodni — przed wzgardzonym, który teraz może się na nim pomścić, może jego położenie pogorszyć i utrudnić. Wzgardzony rywal czuje gorącą nienawiść do niego, bo wie, że pomimo całéj swéj przewagi, którą mu jego urząd i stanowisko nadaje, nie zdoła mu wydrzeć uczucia błogiego, uczucia, że jest kochanym!

W takiém położeniu — gdzie słowa mogą tak jak ostrze broni śmiertelne zadawać ciosy — trzeba być ostrożnym i używać tychże z wielką rozwagą. Po całéj postawie młodego lekarza poznać było, że nie łatwo ustąpi, że stawi opór przeciw przemocy i że się nie ustraszy swego przeciwnika.

Młody doktór rzekł po chwili namysłu:

— Oczekuję objaśnień od pana.

— Objaśnień? powtórzył dyrektor z złośliwym uśmiechem. Ja właśnie oczekuję ich od ciebie, panie doktorze.

— Ja żadnych udzielić nie mogę.

— Jednakże może późniéj będziesz pan do tego zmuszony.

— Jeżeli tego będzie wymagał interes rodziny, z którą jestem zaprzyjaźniony, rzekł doktor i położył umyślnie nacisk na wyraz „zaprzyjaźniony“, spojrzawszy z złośliwym tryumfem na dyrektora, który uczuł w sercu jakby ukłucie szpilką.

Było to jakby pierwsze starcie się w pojedynku.

— Pan leczyłeś zmarłą hrabinę Karolinę Rikoczy w ostatniéj jéj chorobie? zaczął dyrektor po chwili milczenia.

Kolaczek uczynił twierdzące poruszenie głową.

— Jest bardzo prawdopodobném, że ta osoba umarła w skutek trucizny, mówił daléj dyrektor, a pan umieściłeś w jéj sepulturze, jakoby cholera była przyczyną jéj śmierci.

— To było i jest dzisiaj jeszcze mojém mniemaniem.

— Do złożenia świadectwa w téj sprawie będziesz pan zapewne często jeszcze wzywany.

— W każdym razie przybędę na wezwanie, panie dyrektorze.

— Lecz abyśmy tego pewnymi być mogli, wypada nam prosić pana o złożenie sumy pieniężnéj tak wielkiéj, by pana tutaj zatrzymać mogła.

Pan dyrektor położył teraz z swéj strony przycisk na wyraz t u t a j, jakby chciał dać do zrozumienia, że wątpi, by siła przyciągająca hrabianki Łucji była dość silną do zatrzymania go w tak krytycznych obecnie warunkach.

— O to bądź pan jak najzupełniéj spokojnym, odpowiedział doktor. Przyjaźń, którą czuję do rodziny hrabiów Rikoczy, zobowiązuje mnie dość silnie, by jéj nieopuszczać w nieszczęściu.

— Musimy się na każdy przypadek ubezpieczyć, aby śledztwo nie było przewleczoném z przyczyny oddalenia się świadków, rzekł dyrektor, rzucając kłujące spojrzenie doktorowi. Oprócz tego mogłoby się z śledztwa wykazać, że i pan...

Kolaczek spojrzał na dyrektora tak groźno, że ten zmięszany zaciął się w mowie.

— Mogłoby się okazać, powtórzył, że pan zawiniłeś zaniedbaniem, — że zamilczałeś okoliczności podejrzane, a więc nie jesteś zupełnie wolnym od zarzutu. Musimy więc obstawać przy tém, byś pan złożył kaucji przynajmniéj 10,000 florenów, zanim panu zupełną wolność wrócimy.

To uderzenie dotknęło doktora w samo serce. Zkąd on młody lekarz, praktykujący dopiero od roku, mógł wziąść tak znaczną sumę.

Milcząc wzruszył ramionami.

— W przeciwnym razie, panie doktorze, żałuję bardzo, że zmuszony będę pozbawić pana wolności tak długo, dopókąd nie złożysz żądanéj sumy, lub dopókąd nie wykryje się, w przebiegu śledztwa, zupełna niewinność pańska.

To powiedziawszy pan dyrektor powstał i zadzwonił. Przybyły policjant odebrał rozkaz aresztowania natychmiast doktora Kolaczyk. Ten poddał się temu z dumnym spokojem człowieka, który lubo poddać się jest zmuszonym, nie da się upokorzyć zwycięzcy.

Doktor Wacław Kolaczek przybył za rodziną hrabiego Rikoczy do F... w myśli proszenia o rękę Łucji. Znał on ją od lat wielu, bo się wychowywała u ciotki mieszkającéj w Pradze, gdzie zmarły w przeszłym roku jego ojciec znakomity posiadał urząd. Młody Wacław poszedł późniéj na uniwersytet do Wiednia, a ukończywszy świetnie naukę lekarstwa, pozostał tamże praktykującym lekarzem. Jednakże, prawdziwe to przysłowie, że oddalenie zbliża serca. Przywiązanie Wacława zbudzone w dziecięctwie, wzmagało się z latami i oddalenie bynajmniéj go nie ostudzało. Aż wreszcie nadszedł czas gdzie się spodziewał, iż jego stałe i szczere przywiązanie odbierze zasłużoną nagrodę. Blizkim już będąc celu, ujrzał się wplątany w tak straszne sprawy, jednakże pocieszała go myśl, iż nikt łatwiéj od niego nie zdoła dopomódz hrabiemu do oczyszczenia się z czynionych mu zarzutów. Znał on go wprawdzie bardzo mało, bo hrabia przebywał po większéj części w swoich dobrach w Węgrzech, odziedziczonych po stryju, lub za granicą. O wiele starszy od siostry, po śmierci rodziców pozostawił ją zupełnie opiece siostrze ich matki i tylko czasem w przejeździe przez Pragę odwiedzał swe tak bliskie krewne. Młody lekarz miał sposobność zapoznać się bliżéj z hrabią dopiero w czasie katastrofy, o któréj późniéj mówić będziemy.

W kilka godzin po odejściu doktora Kolaczek, przyszedł i do Łucji aktuarjusz policji z zapytaniem, czy nie wie co o zaginionéj szkatułce, gdyż zależy bardzo wiele na odnalezieniu téjże.

Młoda dziewczyna odpowiedziała dumnie i krótko.

— Azatém muszę panią uwiadomić, rzekł policjant, że pani nie wolno inaczéj wychodzić z domu, jak w obecności policjanta, który ubrany po cywilnemu, pójdzie za panią o kilka kroków oddalony.

Łucja zmarszczyła brwi, lecz nie zaszczyciła go wcale odpowiedzią. Poznała łatwo, że opieka roztaczana nad nią pochodziła od pana dyrektora i że to była okrutna konieczność, od któréj można by ją było uwolnić, jakikolwiek obrót sprawa jéj brata poweźmie. Postanowiła przecież wystawić się na wszelkie nieprzyjemności, byle się tylko o losie Wacława dowiedzieć. Wyszła więc nazajutrz na przechadzkę do źródeł sama, bo jéj bratowa była także aresztowaną. Wnet ukazał się za nią policjant, który śledził każde jéj poruszenie. Ale młodego doktora nigdzie widać nie było. Wróciwszy do domu, wysłała na zwiady Weronikę. Ta przyniosła wnet wiadomość, że doktora Kolaczek osadzono od wczoraj w więzieniu. Przerażenie Łucji trudnoby opisać na myśl, że i na nim cięży podejrzenie o zbrodnię, bo w jéj duszy nie postała ani iskierka wątpliwości w cnotę i zacność tego, któremu wieczną zaprzysiądz miała miłość. Czyniła sobie wyrzuty przytém, że obraziła lekkomyślnie dyrektora, a ten mścić się teraz będzie za doznane od niéj urazy na tym, który tego wprawdzie niewinną był przyczyną. Jéj miłość do Wacława wzmagała się w miarę jéj nienawiści dla dyrektora.

Wkrótce dowiedziała się Łucja i o tém, że doktor ma być dopiero wtenczas wypuszczony na wolność, jeżeli złoży 10,000 florenów kaucji, postanowiła więc wystarać się jak najspieszniéj o te pieniądze.

W tym samym czasie Juljusz Melville odebrał rekomendowany list z Berlina. Pochodził on od jednego z agentów tamtejszego zabezpieczenia życia. Był on jakoby objaśniającym aktem owego, w któtkich słowach streszczonego telegramu, o którym wspomnieliśmy w pierwszych rozdziałach, i zawierał co następuje:

„Umarli przemówią... Wkrótce potém gdyśmy się rozłączyli na ostatniéj stacji przed F... zdarzyła mi się zręczna sposobność pomijać się na mój kufer z kufrem hrabiny Rikoczy. Były one sobie obadwa podobne jak dwie krople wody. Udawszy niezmierny pośpiech i wcisnąwszy szafnerowi florena w rękę, schwyciłem kuferek hrabiny zaraz na peronie i pojechałem. Sprowadziłem zręcznego ślósarza i za jego pomocą otworzyłem zamek tak nieznacznie, iż się nie potrzebuję obawiać. by mi to przy późniejszém śledztwie co zaszkodzić mogło.

Nie mogliśmy przecież wnieść do sądu prośby o śledztwo, nie upewniwszy się pierwéj o istnieniu dokumentów, które podług wszelkiego podobieństwa zawierają dowody popełnionéj zbrodni.

Jakoż w kuferku znalazłem szkatułkę, którą za pomocą tego samego ślósarza otworzyłem i zamknąłem. W niéj leżą zapieczętowane papiery i list otwarty zmarłéj hrabiny Karoliny Rikoczy. Jest na nim data ta sama co data jéj śmierci i zawiera niewyraźne zeznanie, że zapieczętowane papiery zawierają przyczynę jéj śmierci. Zaklina ona wprawdzie przyjaciółkę, by tych papierów nie otwierała, chyba wtenczas, gdyby honor i życie jéj męża zagrożone być miało. Naturalnie! Ta szlachetna kobieta jeszcze w ostatnich chwilach walczyła z podejrzeniem na człowieka, którego kochała nad życie. Nie chciała jeszcze z po za grobu występować jako oskarżycielka przeciw niemu, chyba dopiero wtenczas, gdyby bez jéj przyczyny miał być przed sędziów ziemskich stawiony, — na ten przypadek chciała dać świadectwo prawdzie, jak to każdy szlachetnie myślący czuje potrzebę starania się o zwycięztwo prawdy. Albo może przywiązanie do męża posunęło ją do zeznań, któreby mogły ułagodzić jego karę. Ich małżeństwo nie było szczęśliwe; ona poślubiła hrabiego lubo wiedziała, że on w innéj się kocha; sama przyznaje się w tym względzie do winy.

Lecz można także domyślać się, że Karolina pomimo smutnego przeczucia, wątpiła o winie męża. Powiedziano jéj, że chora na cholerę i będzie wkrótce zdrowsza. Temu wierzyła do ostatka, lecz nie mogła już zniszczyć raz spisanych zeznań, nie chciała ich oddać mężowi, by go nie urazić boleśnie. Ażeby się pozbyć tych zeznań pełnych podejrzenia nie pozostawało jéj nic, jak powierzyć je oberzyście, by je przesłał do rąk jéj przyjaciółki. Konając prawie dała mu to polecenie i w kilka chwil potém umarła. Wiedziała, że jéj życie jest bardzo wysoko zabezpieczone. Myślała o przyszłości swego zubożałego małżonka i była tak wspaniałomyślną, iż go nie chciała pozbawiać korzyści, jakie mu śmierć jéj przynieść miała i dla których prawdopodobnie otrutą została.

Jest to rzeczywiście zajmująca sprawa: po jednéj stronie poświęcenie się bez granic, najczulsza troskliwość o przyszłość małżonka, — po drugiéj podłość i zatwardziała niegodziwość upadłego moralnie człowieka. Jeszcze pozostaje kwestja, jak Rozalja, dawna przyjaciółka Karoliny, mogła się przezwyciężyć pojąć za męża hrabiego, gdy ta jéj powiedziała lub przynajmniéj dała do zrozumienia, że tenże zadał jéj truciznę? Lecz i na tę kwestją odpowiedzieć łatwo. Rozalja i jéj teraźniejszy małżonek kochali się dawno. Choć nie można przyjmować, aby Rozalja była wspólniczką téj zbrodni, lub żeby go do niéj namawiała, nie chciała przecież odrzucić ręki, która się z miłości dla niéj splamiła Rozalja jest słaba i łagodna, a miłość pozbawia taki charakter wszelkiéj własnéj woli. Możnaby się także zapytać, czemu umierająca Karolina nie ostrzegła przyjaciółki przed swym mężem?... Czemu zdaje się nawet pochwalać zamiar, iż po jéj śmierci zaślubią się ze sobą?... Karolina jest tak dobrą kobietą, że jeszcze po tamtéj stronie grobu życzy sobie, by mąż jéj był szczęśliwym, a przytém chce naprawić, co dawniéj zawiniła przeciwko Rozalji. Ona odmówiła jéj niegdyś narzeczonego, chce jéj go przynajmniéj po swojéj śmierci powrócić. Spodziewa się, że jéj kosztem będą teraz oboje szczęśliwymi.

Tak Karolina jak i Rozalja są obie osoby bardzo interesujące. Wszystkie ich czynności zdają się pochodzić z namiętnéj miłości, do któréj obiedwie są zdolne. To tylko niepojętą jest rzeczą, jak człowiek taki jak hrabia Rikoczy, mógł podbić dwa takie wzniosłe serca. Dowodzi to jedynie jego przebiegłości i jakiéjś krępującéj przewagi, którą na serca niewieście wywierać umie.

Możesz sobie wystawić, kochany przyjacielu, jak wielką miałem ochotę rozpieczętować te papiery i w jednéj chwili podnieść zasłonę tego dziwnego dramatu!... Lecz czyżbyśmy te papiery Karoliny mogli podać do sądu jako dowody? Nie! toby w żadnym razie nie uchodziło. Zapytanoby się nas, jakim sposobem dostały się w nasze ręce, a tego nie moglibyśmy powiedzieć, bo choć nam nasze sumienie żadnych w tym względzie nie czyniłoby wyrzutów, sąd oskarżyłby nas o nieuczciwość. Wyznania nawet Karoliny straciłyby na wartości, gdyby były wprost przez nas wykazane. I ty kochany przyjacielu jesteś zapewne tego samego zdania, ponieważ wówczas pisząc do mnie, zalecałeś mi ostrożność. Zwróciłem więc kuferek dobrowolnie jako nieumyślnie zamieniony. Naszém zadaniem jest teraz zniewolić sąd do jak najściślejszéj rewizji w domu hrabiego. Przy téj sposobności dostaniemy w nasze ręce szkatułkę, i sąd znajdzie w niéj dowody winy, co dla nas nader jest ważném. Te dowody w połączeniu z obdukcją ciała zmarłéj hrabiny, wykonaną przez ludzi znakomitych w sztuce

lekarskiéj, zatamują zbrodniarzowi wszelką możebność zapierania się tego haniebnego czynu.“

Ten list pełen bystrych i trafnych przypuszczeń, pod jednym tylko względem możnaby sprostować.

Korespondent usiłuje wyjaśnić dla czego Rozalja oddała rękę hrabiemu, lubo mogła odgadnąć z otwartego listu w szkatułce. jaki opłakany los sprowadził tenże na swą pierwszą żonę.

Korespondent podług swego zdania wyjaśnia to bardzo dobrze, ale my wiemy już, że Rozalja dopiero wkrótce po ślubie otrzymała tę szkatułkę, z przyczyny zapomnienia staréj krewnéj u któréj bawiła.

Chociaż Juljusz Melville zgadzał się bardzo z swym kolegą co do ostrożności w działaniu, teraz byłby wolał, aby szkatułkę tę był ów kolega wziął i oddał do sądu, nie byłoby więc obecnego z nią ambarasu. A wymówkę byłoby można obmyślić.

Teraz szkatułka uszła rąk sądowych; zniknęła bez śladu. Tajemnica, która się w niéj znajdowała, została tém ciemniejszą w chwili, kiedy jednego potrzeba tylko jeszcze dowodu. Hrabia był obłąkany lub udawał tylko, — jakże można było proces doprowadzić do końca.

Miano więc do czynienia z przebiegłym i chytrym nieprzyjacielem, który obmyślił wszelkie środki, by ujść śledztwa. O jednym tylko środku ostrożności zapomniał, t. j. zapomniał oddalić trucizny, któréj do zatrucia żony użył! Albo też właśnie dla tego, że wszystko tak dobrze obmyślił, więc to jedno umyślnie pozostawił w mniemaniu, iż mu to do obrony dopomoże.

Zobaczymy daléj, jak daleko bystrość agenta słusznie sądzić zdołała.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odezwa do Opinji pubicznej oraz do mężów czci i zaufania.

Roztrąbianie po gazetach naszych o zaskarżenie o „oszczercze artykuły“ nasze do prokuratora przez p. Józefa Dr. Szafarkiewicza, bardzo niezręcznym jest manewrem chwilowym. O ile nam wiadomém, nie jest to wytoczenie nam procesu o oszczerstwo lub obrazę, lecz po prostu ma to być denuncjacja o nadużycie prasy. Nie doszedł nas wprawdzie jeszcze żaden zapozew, — a kto wie czy to nie czcza pogróżka. Oddrukowaliśmy ten list z własnéj woli, — bo prawo nas do ogłoszenia nie zmuszało, gdyż dopiero na wezwanie wyrokiem sądowym bylibyśmy zniewoleni do ogłoszenia go — a tego nie było.

Demaskując arcy-potężne i przeliczne Bractwo Wzajemnéj Adoracji w Poznaniu, — liczące w sobie jako członków i naczelników ludzi nie bez zasług, — ale ludzi bezczelnych i niesumiennych, i dla tego nam dziś najszkodliwszych, — pozostawiliśmy im tylko trzy drogi — i to nie inne jak: 1) drogę satysfakcji honorowéj resp. sąd honorowy, — na któryśmy dla tego liczyli, żeśmy przypuszczali że mają uczucie honoru; 2) drogę sądową, dla nich najbezpieczniejszą, bo tam tylko z częściowemi, czarno na białém uzasadnionemi, nie zaś moralnemi dowodami występować można, — a po 3) drogę zemsty przez siepaczy płatnych. Ta zaś może potrwać póki życia im i nam starczy.

Na tych tylko drogach oczekiwać naszych nieprzyjaciół byliśmy i jesteśmy każdéj chwili jak najzupełniéj przygotowani — więc i ta „skarga do prokuratora“ nie jest nam niespodzianką.

Tryumfują małoduszni poplecznicy téj szajki, że obawiam się przegranéj, bom to w liście do p. Dr. Józefa Szafarkiewicza napisał.

Dałby Bóg żeby tak było! Zaręczam: że mnie wygrana téj sprawy więcéj truć będzie, — niż gdybym ją z kretesem przegrał. Rzeczywiście przegrana nawet uradowałaby mnie, — boć wtedy byłbym ja tylko oszczercą, — a tamci ofiarami mego warjactwa, méj nieuczciwości lub méj głupoty. Zostałoby kilkunastu potężnych obywateli w środki pieniężne bardzo znaczne, i w środki umysłowe niepospolite na czele narodu, — a padłby jeden — biedak i głupiec jeżeli nie niecnota... Ale przeciw prawdzie rozumu nie ma!... Wygramy niestety!... i to nas bardzo zasmuca!...

Nie cofam ani słowa z tego com dotąd powiedział o doktorach Szafarkiewiczach Józefie i Juljanie, ani o Łyskowskim Mieczysławie, Fajansie, Hebanowskim, Dobrowolskim Franciszku. Owszém powiem jeszcze więcéj gdy rozpoczęta walka się rozwinie, — i do tych przydam inne jeszcze nazwiska. Tę walkę poprowadzę dopóty, dopóki nie staną nam na czele ludzie, — którzy się dziś brzydzą łączyć się ze zaczepionymi przezemnie, — dopóki opinja publiczna nie zapanuje, którą dziś wrzaskami zagłuszają poplecznicy téj szajki, i ona sama sztucznie!...

Co nas tylko boli, — t. j. że dziś nas podnoszą pod niebiosa i ludzie, których nazwiska godniejby figurowały pod pręgierzem opinji publicznéj niżeli wymienionych, — a jeszcze więcéj zasmuca nas to, że w gromadzie nieuczciwych, która nas błotem obrzuca pokątnie i odgraża się dotąd pięściami w kieszeni, — że i pomiędzy tymi są ludzie, których od dziecka przyzwyczailiśmy się czcić i szanować, — i którzy najmniejszego interesu materjalnego do obrony tych szajki naczelników nie mają!

Że to nam przedłuży walkę, tego sobie nie tajemy, ale że i to nas nie odstraszy, — zaręczamy tém uroczyściéj, że widzimy w tém jeszcze większe niebezpieczeństwo, bo nasz zbyt głęboki upadek moralny!... Nie! muszą wrócić te pojęcia ojców naszych, takich rycerzy obywateli jakimi byli: Wojczyński, Pac, Piotr Bieliński, Tyszkiewicz Wincenty, Skarzyńscy, Gabryel książę Ogiński, Kniaziewicz, Toporczyk- Trzciński Napoleon, Szlegel i tylu, tylu innych dziś żyjących!...

W méj obecności ojciec mój wyzwał na pojedynek jednego ze swych najserdeczniejszych przyjaciół: Hieronima Niezabitowskiego, za to: że opowiadając memu ojcu o kimś, któremu pogroził szpicrutą, — a na ulicy ten sam gest wykonał w żywości swego opowiadania. Ojciec mój natychmiast po tym geście sucho się ukłonił Niezabitowskiemu, odszedł i przechodzącego swego znajomego poprosił o wyzwanie stojącego jeszcze Niezabitowskiego w miejscu, na pojedynek: o ten naśladowniczy gest grożenia. „Jakto, odrzekł mi ojciec na moje zdumienie, że swego przyjaciela o taką bagatelę wyzywa, — „czyby ktoś zdala patrzący na to nie mógł myśleć, że mnie p. Hieronim tak groził?!... A cóżby o mnie powiedziano?!... żem widać na to zasłużył!...“ I w obec licznych przyjaciół, zebranych na sąd honorowy w Paryżu, objaśnił Niezabitowski zdarzenie i w obec zebranych ojca mego za ów gest przeprosił...

A dziś na mnie, téj saméj Ojczyzny szanowane dzieci się oburzają, — żem ludziom okłamującym publiczność, jak p. Fr. Dobrowolski; wyzyskujących jak panowie Fajans i Łyskowski (jako naczelnicy banku Toruńskiego) lub jak p. Dr. J. Szafarkiewicz (jako prezes kasę pożyczkową), — żem tym w oczy

i publicznie powiedział: co o nich różni ludzie pokątnie mówią — i gdy wymieniam powody, kony (fakta) na których się opieram!...

I tych jeszcze śmią bez sądu bronić!!...

Ojcowie nasi byliby natychmiast zebrali się na sąd honorowy na wymienionych, — i żadnemu z nich nie podanoby ręki, zawieszono w czynnościach, — ażby się sprawa nie wyświeciła, i — albo jabym był wykluczony z wszelkich towarzystw jako oszczerca lub plotkarz, — albo tamci, jako ludzie niegodni — czci zażywanéj. Dziś ma bezczelność p. Dr. Szafarkiewicz chwalić się — że mnie denuncjował przed prokuratorem, — a inni milczą jak tchórze i podli, — a tu mnie nieznajomi jedni chwalą, drudzy potępiają, bez przekonania się, bez odczekania końca sprawy!...

Tak więc upadliśmy moralnie!!...

Na Boga — ludzie zacni stańcie nam na czoło! Nie czekajcie aż sądy podług liter prawa stanowić będą — o czci sądowéj, która takich jak Gerstel lub Plewkiewicz uzna za ludzi honorowych, skoro wysiedzą kajdanne swe kary!!... Potomni nam pluć na naszą pamięć będą, — że tak nizko upadliśmy!

Tą drogą nie uzyskamy naszego przynależnego stanowiska w gronie narodów godnych życia!

Opinjo publiczna odezwij się — i zawyrokuj!...

Mężowie czci i zaufania zbudźcie się — do czynu!!

Wł. hr. Chotomski.

ROZMAITOŚCI.

Jeszcze o teatrzyku na podwórku p. Hebanowskiego.

Kurjer Poznański w Nr. 171 pisze, że p. Kaliciński „nie mogąc przecież znaleźć stósownego ogrodu (w Poznaniu) w mieście samém, spróbował urządzić scenę w parku Wiktorja“ i tam da teatralne przedstawienie dnia 2 sierpnia.

Park ten oddalony od pocztowego podwórza w Poznaniu o trzy ćwierci mili, — prawda, że droga od bram fortecznym pięknemi ocieniona drzewami.

Wymagają tedy nasze dzienniki i towarzystwo dramatyczne licznego udziału! — Daj go Boże poczciwemu p. Kalicińskiemu, — ale...

To ale, — te szukania ogrodu przy teatrze!... Cóżby to za wyrzuty sumienia były dla pp. Ignacego Grabowskiego, Łyskowskiego, Fajanja, Dobrowolskiego etc. gdyby to byli ludzie sumienia.

Oburza się wielu na nas, że psujemy interes teatrzyku, który teraz na łeb na szyję fuszerują, byle skończyć przed zimą. Gdyby to od nas zależało, zniewolilibyśmy tych panów do zatrzymania go dla siebie na spekulację, — niechby nam tylko oddali zmarnotrawiony grosz.

Dziś atoli słowa nasze są jedyną na tych ludzi karą i chłostą, w któréj nie ustaniemy, — dopóki ci ludzie będą mogli w dyrekcji bruździć niesumiennością sankcjonowaną przez Walne Zebrania ich lalek automatów. Dziś już jawne są niedogodności tego teatrzyku bez ogrodu! Że każą p. Referent et consortes chwalić, albo i pierwszy sam może chwali teatrzyk, — jak i jego wspólnicy, — toć oni z niego mieli swe interesiki osobiste zaspokojone i zyski, — dziw że go bardziéj nie chwalą; — aleśmy (publiczność) nie dla tego ich obdarzyli zaufaniem, żeby nam się przeniewierzali i zdradzali nasze zaufanie, — i my nie damy się ułudzić ani ułagodzić!...

Dziennik Poznański nie odważa się zaczepiać nas otwarcie, ale pobocznie się broni jak może i umie.

W korespondencji z 17 lipca może „z Gniezna“ pisanéj, zaspokaja publiczność o stósowności teatru polskiego co do miejsca i o „piękności gmachu.“

Otóż właśnie najfatalniejsza strona tego dziś fuszerowanego teatrzyku jest: że z czterech miejsc, które były do dyspozycji z ogrodami, wybrała niesumienna Dyrekcja z niedbałym Nadzorem, dla dogodzenia wielkim patrjotom pp. Fajans i Łyskowskiemu, najgorsze i najdroższe. Były wówczas do nabycia:

1) ogród Hildebranda za około 70,000 tal.,
2) „ hr. Laucy Czapskiéj za około 60,000 tal.,
3) „ po Ślusarzewiczu za około 18,000 tal.,
4) hotel Wiedeński z ogrodem za około 90,000 tal., na który Józef hr. Mielżyński chciał wziąść za 25,000 talarów akcji, — a innych za 25,000 tal. zobowiązał się rozprzedać ten, który rozprzedał już przeszło 1000 akcji na owo podwórko p. Hebanowskiego.

I to działo się bez woli i wiedzy Walnego Zebrania, — na rękę pp. patrjotów Fajansów, Łyskowskich, Hebanowskich i Ignacych Grabowskich — ze sprawozdaniami urzędowemi p. Referenta, jasnemi jak fusy. Nas zadziwia, że takie bezgłowne i niewalne Walne Zebrania dadzą się tak za nos wodzić szachrajom grosza narodowego. **W. hr. Chotomski.**

* * *

W Poznaniu w Bazarze odbędzie się koncert instrumentalno-wokalny w poniedziałek 3 sierpnia o 8 wieczorem 1874, pp. Krzyszkowskich Stefana, dyrektora orkiestry, i jego żony Marji z Macherzyńskich, na którym śpiewać będzie ostatnia: 1) „Arję z Łucji“ (Donizettego), 2) „Prząśniczka“ (Moniuszki), muzyka Krzyszkowskiego, 3) „Sen nocy letniéj“ (Mirona), muzyka Krzyszkowskiego, 4) „Par dépit“ (Asnyka, E...ly), muzyka Krzyszkowskiego, 5) „Cyganka“ (Donizetti), 6) „Murzynek“ (Barbieri). Inne kompozycje p. Krzyszkowskiego orkiestrowe będą wykonane: 1) „Scherzo“, 2) „Mazur na trąbkę chromatyczną“, 3) „Uwertura do Salomona“, 4) „Polonez Chopina“ cis moll, i 5) „Marsz uroczysty Wielkopolanin.“ — Koncert rozpocznie się „Uwerturą do Wilhelma Tell“ (Rossini).

Jak najuprzejmiéj upraszamy licznych nie uiszczających się ze zaległości (mianowicie od 1872 i 1873 r.) abonentów:

o łaskawe przesłanie pod naszym lub drukarni p. L. Merzbacha adresem — należytości za „Tygodnik Wielkopolski.“

Nie chcemy ani przypominać listownie, a tém mniéj ściągać pocztowemi zaliczkami tylu drobnych a licznych sumek. Gdyby komu za uciążliwém było na raz zapłacić po kilka talarów lub florenów, upraszamy chociażby o częściową upłatę znaczkami pocztowemi we frankowanym liście. Przepraszamy za to upominanie się, lecz każdonumerowe koszta 25 tal. gotówką zniewalają nas do tego kroku.

Redakcja.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Władysław hr. Chotomski. — Czcionkami drukarni L. Merzbacha.
Jedyny skład w Poznaniu w księgarni K. Rejznera (Chotomski).